



Guy de Maupassant

HORLA

Guy de Maupassant

Horla

Przełożył Zygmunt Niedźwiedzki



Fundacja FESTINA LENTE

8 maja. — Co za cudowny dzień! Spędziłem całe rano wyciągnięty na trawie przed domem, pod ogromnym platanem, który go przykrywa i ocienia w całości... Kocham ten kraj i lubię w nim przebywać, ponieważ tu tkwią moje korzenie, te głęboko wpite i delikatne korzonki, co łączą człowieka z ziemią, na której urodzili się i pomarli jego przodkowie, co go wiążą z miejscowym sposobem myślenia, mówienia i odżywiania się, z obyczajami i gwarą ludową, z zapachem ziemi, domów, a nawet powietrza.

Kocham mój dom, w którym wzrosłem. Z moich okien widzę Sekwanę, płynącą wzdłuż mojego ogrodu, zaraz za drogą, prawie że u mnie, Sekwanę głęboką i szeroką, zdążającą z Rouen do Hawru, przepelnioną statkami.

Tam na lewo widać Rouen — duże miasto o sinych dachach, u stóp tłumu kolczatych wieżyc gotyckich. Jest ich bez liku: smukłe i rozsadziste — wysoko ponad wszystkimi żelazna iglica wieży katedralnej — w nich dzwony, grające w błękitach pięknych ranków, ciskające aż do mnie swoje żelazne dźwięki, złagodzone oddalą, i swe spizowe śpiewy, które mi i wiatr przynosi

to mocniejsze, to słabsze, w miarę tego czy powiew jego wzmacnia się lub cichnie.

Jakiż to był rozkoszny poranek!

Około godziny jedenastej długi sznur okrętów, z małym jak mucha statkiem holowniczym na czele, który charczał z wysiłku i wyrzucał kłęby gęstego dymu, przesunął się przed moimi sztachetami. Po dwóch angielskich dwumasztowcach z wzdymającymi się na tle nieba szkarłatnymi pawilonami przepłynął wspaniały trzymasztowiec brazylijski, cały w bieli, przedziwnie czysty i lśniący. Skłoniłem mu się, nie wiem, czemu, tak mi się spodobał od pierwszego wejrzenia.

12 maja. — Od kilku dni mam małą gorączkę; jestem cierpiący, a raczej przygnębiony.

Gdzie może być źródło tych tajemniczych wpływów, co przepełniające nas uczucie szczęścia ni stąd ni zowąd obracają w zniechęcenie, a ufność naszą zmieniają z nagłą w rozpacz? Rzekłbyś, że powietrze, niewidzialne powietrze, roi się od niezbadanych mocy, których tajemnej bliskości podlegamy. Budzę się rozradowany, śpiewać mi się chce. — Dlaczego? — Puszczam się na przechadzkę brzegiem rzeki, naraz posepnieję i zabieram się z powrotem, jakby mnie w domu oczekiwało nieszczęście. — Dlaczego? — Czyżby dreszcz zimna, musnąwszy mi skórę, szarpnął mnie za nerwy i zasepił mi duszę? A może to kształt chmur lub kolor światła, zabarwienie przedmiotów, pełne takiej różnorodności, przemyskając przed moimi oczyma, myśl we mnie zachmurzyły? Jestże to komukolwiek wiadomym? Wszystko, co tylko nas

otacza, wszystko, co dokoła widzimy, nie patrząc, o co się ocieramy, nie wiedząc o tym, wszystko, czego dotykamy, nie wyczuwając, i czego nie umiemy nawet rozróżnić, napotkawszy, wywiera może na nas, na nasze organa, a przez nie na myśli, nawet na nasze serce, wpływ szybki, zadziwiający i niewytłumaczalny.

Jakże głęboką jest tajemnica Niewidzialnego! Nie jesteśmy w stanie jej zbadać za pomocą nędznych zmysłów naszych: naszymi oczyma, co nic umieją dostrzec ani rzeczy zbyt wielkich, ani zbyt małych, ani na zbyt krótką, ani na nadto daleką metę ani mieszkańców gwiazd, ani mieszkańców kropli wody; naszymi uszama, które nas mają, ponieważ przerabiają dla nas wibracje powietrza na nuty brzmiące; powonieniem naszym, słabszym od węchu psa; smakiem naszym, zaledwie zdolnym rozróżnić wiek win!

Ach, gdybyśmy posiadali inne organa, zdolne dokazywać cudów na nasz pożytek, ileż to rzeczy moglibyśmy wtedy odkryć dokoła nas!

16 maja. — Stanowczo, jestem chory! A tak doskonale miałem się ubiegłego miesiąca! Mam silną gorączkę, a raczej uległem jakiemuś gorączkowemu zdenerwowaniu, w którym ciało i dusza moja w równym cierpią stopniu. Nie opuszcza mnie ani na chwilę straszne uczucie grożącego mi niebezpieczeństwa, jakby strach przed nadchodzącym nieszczęściem, czy zbliżającą się śmiercią; przecucia te mają niewątpliwie swe źródło w chorobie, która się jeszcze nie objawiła, ale kiełkuje już w ciele i krwi.

18 maja. — Byłem radzić się lekarza, bo nie mogę sypiać. Znalazł u mnie przyspieszone tętno, rozszerzenie źrenic, przedrażnienie nerwowe, żadnych jednak objawów niepokojących. Mam brać natryski i zażywać bromek potasu.

25 maja. — Żadnej zmiany! Stan mój jest dziwny doprawdy. W miarę zbliżania się wieczoru ogarnia mnie niepojęty niepokój, jak gdyby noc kryła dla mnie jakąś straszliwą groźbę. Spożywszy obiad szybko, próbuję czytać; nie rozumiem jednak wyrazów, ledwie rozróżniam litery. Zaczynam tedy chodzić po salonie wszerz i wzdłuż, z nieokreśloną, a nieprzepartą obawą snu, obawą łóżka.

Około godziny dziesiątej idę na górę, do mej sypialni. Skoro tylko wejdem, zamykam drzwi natychmiast na dwa spusty i zasuwam rygle. Lękam się... czego? Nie bałem się niczego po dziś dzień! Otwieram szafy, zaglądam pod łóżko, wyteżam słuch... za czym? Nie dziwne to, żeby drobna niedyspozycja, jakaś nieprawidłowość w cyrkulacji krwi może, rozdrażnienie jednego nerwowego włókna, mała kongestia, niewielkie zaburzenie w tych tak niedoskonałych i tak delikatnych funkcjach naszej maszyny życiowej — mogło zrobić melancholikiem najweselszego z ludzi, tchórzem — nieustraszonego? Następnie kładę się do łóżka i czekam snu, jakbym czekał kata. Oczekuję nań, bojąc się równocześnie jego przybycia; serce mi przy tym bije, nogi drżą, a całe ciało nie przestaje ani na chwilę trząść się w ciepłe pościeli, dopóki nie zapadnę naraz w sen, jak się zapada w wodę

ktoś, co się pragnie utopić. Nie czuję dzisiaj — jak niegdyś — zbliżania się snu-zdrajcy, co zaczaiwszy się tuż koło mnie, czatuje na chwilę, kiedy będzie najdogodniej schwycić mnie za głowę, zamknąć mi oczy, unicestwić...

Śpię długo — dwie do trzech godzin, a potem zaczynam śnić — nie — zmora mnie dusić zaczyna. Czuję doskonale, że leżę i że jestem uśpiony... czuję to, wiem o tym. Lecz czuję także, że ktoś się do mnie zbliża, przypatruje mi się, dotyka mnie, a potem wchodzi do mojego łóżka, klęka na moich piersiach, chwyta mnie oburącz za gardło i ściska, ściska, ze wszystkich sił, chcąc mnie udusić...

Bronię się, skrępowany tą straszną niemocą, jaka nas w snach obezwładnia; chciałbym krzyczeć — nie mogę; chcę się ruszyć — nie jestem w stanie; próbuję z największym wysiłkiem, dysząc, odwrócić się, zrzucić z siebie tę istotę, która mnie przygniata i dławi — nie potrafię!

Naraz budzę się, półobłąkany, cały w potach. Zapalam świecę — jestem sam.

Po tym kryzysie, ponawiającym się co noc, usypiam i śpię, spokojnie już, do samego świtu.

2 czerwca. — Stan mój pogorszył się jeszcze. Co mi u licha jest? Brom nie pomaga wcale, natryski pozostają bez skutku. Właśnie — chcąc zmęczyć ciało, takie znużone zresztą — byłem się przejść po lesie Roumare. Miałem nadzieję, że świeże powietrze, lekkie i miłe, pełne zapachu ziół i liści, odświeży mi w żyłach krew, wykrzesze z mego serca nową energię. Poszedłem

najpierw wielką aleją myśliwską, po czym skręciłem ku La Bouille wąską ścieżką pomiędzy dwoma rzędami niezmiernie wysokich drzew, które między mną a niebem tworzyły zielony, ciemny, prawie czarny dach.

Wtem dreszcz mnie przeszedł, nie dreszcz zimna jednakże, tylko szczególny dreszcz lęku.

Przyspieszyłem kroku, zaniepokojony mą samotnością w tym lesie, wylękły bez żadnej określonej racji, w zgoła niedorzeczny sposób, dlatego tylko że byłem tam — sam. Naraz wydało mi się, że za mną ktoś idzie, że mi następuje na pięty, dotyka mnie, że jest tuż, tuż...

Odwróciłem się zniechęca, nie było nikogo. Ujrzałem poza sobą tylko aleję, długą, wysoko sklepioną i przerażająco pustą, a w przeciwnym kierunku ciągnęła się jak wzrokiem sięgnął, druga, zupełnie podobna, straszna.

Zamknąłem oczy. Dlaczego? Począłem się obracać na pięcie, prędko, coraz to prędzej, jak fryga, żem o mało nie upadł.

Drzewa tańczyły teraz dokoła mnie, ziemia falowała, musiałem usiąść. Lecz — ach! — nie wiedziałem obecnie, z której strony przyszedłem. Co za myśl dzika! Ani rusz zgadnąć! Skierowawszy się wreszcie na prawo, dotarłem do alei, która mnie zawiodła w sam środek lasu.

3 czerwca. — Straszliwa noc! Muszę wyjechać na kilka tygodni. Może mnie mała podróż uleczy.

2 lipca. — Wracam. Jestem uzdrowiony. Zrobiłem prześliczną wycieczkę! Byłem na górze Świętego

Michała, której nie znałem dotąd. Co za wspaniały widok, kiedy się jak ja przybędzie do Avranches na schyłku dnia!

Avranches wznosi się na wzgórzu. Zaprowadzono mnie do publicznego ogrodu na samym końcu miasta. Krzyknąłem z podziwu. Niezmierzona okiem zatoka rozwarła się przede mną pomiędzy dwoma szeroko rozsuniętymi wybrzeżami, których krańce ginęły w mgle oddalenia; w środku zaś tej zatoki, olbrzymiej, jasnej, pod niebem złocistym, promiennym, wznosiła się z tła piachów ciemna góra dziwnego kształtu. Słońce tylko co zaszło, a na pałającym jeszcze tle widnokregu tym wyraziściej się rysował fantastyczny profil tej góry, na której szczycie wznosi się fantastyczny monument.

Poszedłem tam z brzaskiem najbliższego dnia. Stan morza był niski jak wczorajszego wieczora, w miarę zaś jak dochodziłem szczytu, gmachy zadziwiającego opactwa wynurzały się coraz bliżej przed moim wzrokiem. Po kilku godzinach drogi dotarłem nareszcie na wierzch olbrzymiej skały, dźwigającej na sobie maleńkie miasteczko, ponad którym górują wysokie mury świątyni. Po przebyciu uliczki stromej i ciasnej wszedłem do najcudniejszego z domów bożych, jakie kiedykolwiek wzniesiono na ziemi, rozległego jak miasto, w stylu gotyckim, pełnego niskich wewnątrz przywalonych sklepieniami i wyniosłych galerii o smukłe kolumny wspartych. Wstąpiłem do wnętrza tego olbrzymiego cacka z granitu, lekkiego jak koronka, najeżonego lasem wieżyczek i lekkich dzwonnicy, na które się wchodzi po kręconych schodach i które

wznoszą ku jasnemu niebu dnia, ku ciemnym niebiosom nocy dziwaczne swoje głowy, nastroszone postaciami chimer i biesów, fantastycznymi zwierzętami i kwiatami potwornych kształtów, powiązane z sobą misternie rzeźbionymi łukami.

Znalazłszy się na szczycie, zagadnąłem mnicha, który mi towarzyszył:

— Musi wam tutaj dobrze być, ojczy?

Odparł:

— Wiatr tutaj dmie straszliwy.

Poczęliśmy rozmawiać, przypatrując się przyływowi, który biegnąc coraz dalej po piaskach, zakuwał je w pancerz ze stali.

Zakonnik począł mi opowiadać historie, wszystkie dawne historie związane z miejscem, legendy, same legendy.

Jedna z nich uderzyła mnie szczególnie. Miejscowa ludność, ta z góry, utrzymuje, że nocami dolatują z piasków głosy ludzkie, a następnie że słychać beczenie kóz, jednej grubym, drugiej cieńszym głosem. Według zdania niedowiarków są to po prostu krzyki morskiego ptactwa, podobne już to do beku kóz, już to do ludzkich jęków. Ale prości rybacy przysięgają, że krążąc po nadbrzeżnych piaskach, pomiędzy przyływem i odpływem, dokoła tej małej miejsciny, leżącej hen, za światami, spotykali niekiedy starego pastucha, którego głowy, nakrytej płaszczem, nie było widać, prowadzącego za sobą kozła z twarzą mężczyzny i kozę z kobiecym licem, oboje pokrytych długą, białą sierścią i gadających bez przerwy w nieznanym języku,

jakby się z sobą kłócili, po czym naraz dziwadła, zaniechawszy krzyku, poczynęły beczeć z całych sił.

Zapytałem mnicha:

— Wierzy ojciec w to?

Szepnął:

— Czy ja wiem.

Ja zaś:

— Toż gdyby istniały na ziemi stworzenia tak odmienne od nas, musielibyśmy je znać od dawna? Jakim sposobem stać by się mogło, abyście wy, ojczy, nie widzieli żadnego ani razu? Abym ja ich nigdy nie widział?

Odparł:

— A czyliż my widzimy jedną stutysięczną część tego, co jest? Patrz pan, oto na przykład wiatr, jedna z największych sił w przyrodzie: obala on ludzi, burzy gmachy, wrywa z korzeniami drzewa, wzbija morze w olbrzymie góry wodne, kruszy skały, ciska ogromnymi statkami jak piłką o podwodne rafy. A widział go pan kiedy – ten wiatr, co jęczy, świszczce, zabija – lub czy go pan jesteś w stanie zobaczyć? A przecież on istnieje.

Zamilkłem wobec tak prostego rozumowania. Ten człowiek mógł być zresztą równie dobrze mędrcom jak i głuptasem; niepodobna mi było o tym rozstrzygnąć na pewno — ale umilkłem. To co powiedział i mnie przychodziło często na myśl.

3 lipca. — Źle spałem. W tutejszym klimacie muszą się znajdować jakieś zarodki febry, ponieważ mój woźnica choruje w zupełnie taki sam sposób jak ja.

Wróciwszy wczoraj, zauważyłem zaraz, że pobladł bardzo, więc go zapytałem:

— Co ci jest, Janie?

— Nie mogę sypiać, proszę pana. Noc zjada mi dnie. Od wyjazdu pana nie opuszcza mnie to ani na chwilę.

Reszta domowników ma się dobrze pomimo tego — obawiam się jednak bardzo u siebie recydywy.

4 lipca. — Stanowczo moja choroba wróciła mi się. Dawne zmory mnie nawiedzają. Tej nocy uczułem wyraźnie, jak ktoś, przykucnąwszy na mnie i przytknąwszy swe usta do mych ust, życie mi z nich wypijał. Tak jest — wysysał mi je z piersi jak pijawka. Potem się podniósł, nasycony, a ja się przebudziłem, taki złamany, zbity, unicestwiony, że się nie mogłem ruszać. Jeżeli to nie ustanie za dni kilka — będę musiał znowu wyjechać.

5 lipca. — Czy ja zmysły tracę, czy co? To co się stało, to co widziałem ostatniej nocy, jest tak dziwne, że tracę głowę na samą myśl o tym!

Jak zwykłem to obecnie czynić co wieczór, zamknąłem za sobą drzwi sypialni na klucz. Ponieważ mi się chciało pić, wypilem pół szklanki wody i zauważyłem przypadkiem, że karafka jest napełniona po sam korek z kryształu.

Następnie położyłem się i zapadłem niebawem w jeden z tych moich strasznych snów, z którego w dwie godziny potem zbudziło mnie jeszcze straszliwsze wstrząśnienie.

Wyobraźcie sobie człowieka śpiącego, na którym spełniają mord i który się budzi z nożem w płucach, charcząc, zboczony krwią, niezdolny złapać tchu i kona, nie wiedząc, co się z nim dzieje...

Zdoławszy w końcu odzyskać przytomność, uczułem znowu pragnienie, zapaliłem więc świecę i poszedłem do stołu, na którym stała karafka. Podnoszę ją, przechylam nad szklanką — nie wypłynęła ani kropelka. Była pusta, była kompletnie pusta!

Zrazu nie mogłem pojąć, co się stało: nagle przejęło mnie wzruszenie tak straszliwe, że musiałem usiąść, a raczej że padłem na krzesło. Wnet jednak zerwałem się jednym susem, rozglądając się dokoła. A potem usiadłem znowu, zdumiony i przerażony aż do obłędu, w obliczu tego przezroczystego kryształowego naczynia, w którym nie było ani kropli... Wpiwszy w nie wytrzeszczone oczy, siłem się na przeniknięcie zagadki! Ręce mi się trzęsły. Więc woda została wypita! Kto ją wypił? Ja? Bez wątpienia ja sam. Nikt inny przecież nie mógł jej wypić oprócz mnie. Lecz w takim razie byłem somnambulikiem, żyłem — sam o tym nie wiedząc — owym tajemniczym, podwójnym życiem, które każe powątpiewać, czy w nas przypadkiem nie mieszkają dwie istoty lub też, czy jakaś istota obca, niewidzialna i niepoznawalna, nie owłada chwilami — gdy dusza nasza pograży się we śnie — naszym ciałem, posłusznym jej jak nam samym, więcej niż nam samym.

I któż zdoła objąć okropny mój strach? Kto pojmie wzruszenie człowieka zdrowego na umyśle, zupełnie otrzeźwionego ze snu, rozsądnego, który patrzy z

przerażeniem przez szybę karafki, z której zniknęło trochę wody podczas jego snu. Siedziałem tak do białego dnia i nie śmiałem wracać do łóżka.

6 lipca. — Jestem bliski obłądu. Ktoś wypił znowu całą karafkę tej nocy; a raczej ja... chyba ja ją wypilem.

Ale — czyż ja? Czy ja?! Lub — kto? Kto?! —
Boże mój! Ja oszaleję! Któż mnie ocali?

10 lipca. — Poczyliłem zadziwiająco spostrzeżenia.

Stanowczo jestem wariatem! A jednak!

Dnia szóstego lipca, przed położeniem się spać, postawiłem u siebie na stole wino, mleko, wodę, chleb i poziomki.

Wypito — ja wypilem — wszystką wodę i nieco mleka. Wino, chleb i poziomki pozostały nietknięte.

Siódmego lipca powtórzyłem to doświadczenie takim samym rezultatem.

Ósmego lipca usunąłem wodę i mleko. Nie ruszono niczego.

Dziewiątego lipca wreszcie umieściłem na stole samą tylko wodę i mleko, wzięwszy się przy tym na sposób, owinałem obie karafki w biały muślin, korki zaś przymocowałem szpagatem. Następnie natarłem sobie dobrze wargi, brodę i ręce grafitem i położyłem się spać.

Nieprzezwyjężona senność ogarnęła mnie prawie natychmiast, wkrótce po niej jednakże nastąpiło okrutne przebudzenie. Ani się nie ruszyłem przez sen; nawet pościel na łóżku nie nosiła najlżejszych śladów grafitu, którym byłem uczerniony. Podskoczyłem do stołu.

Białe płatki, owijające jedną i drugą butelkę, pozostały bez najmniejszej plamki.

Odwiązałem korki, trzęsąc się ze strachu. Wszystka woda była wypita! Całe mleko także! Boże!

Jadę natychmiast do Paryża.

12 lipca. — Paryż. Byłem tedy obrany z rozumu przez czas ostatnich dni!

Musiałem paść igraszką mej zdenerwowanej wyobraźni — jeżeli przypadkowo nie jestem naprawdę somnambulikiem lub jeśli nie uległem jednemu z tych stwierdzonych, lecz dotąd niewyjaśnionych wpływów, noszących miano sugestii. W każdym razie opętanie moje granoczyło z obłędem — na szczęście dwadzieścia cztery godziny w Paryżu wystarczyły, aby mnie na nogi postawić.

Po całym szeregu wczorajszych przejażdżek i wizyt, które wpuściły do mej duszy świeże i ożywcze powietrze, zakończyłem dzień w *Theatre-Francais*. Grano sztukę Dumasa-syna, a pełen życia i krzepkości umysł tego pisarza uzdrowił mnie do reszty. Zaiste, samotność nie jest bezpieczną rzeczą dla pobudliwych imaginacji. Potrzeba im otoczenia ludzi, którzy myślą i mówią. Pozostając zbyt długo sami, poczynamy zaludniać majakami próżnię.

Wróciłem do hotelu przez bulwary bardzo wesoły. Obszturchiwany łokciami tłumu, nie bez ironii myślałem o mych obawach, o moich przypuszczeniach z tamtego tygodnia, bo przecież zdawało mi się, tak jest, formalnie zaczęło mi się zdawać, że jakaś niewidzialna istota przebywa pod mym dachem razem ze mną. Jakże

słabą jest nasza głowa i jak się łatwo przestrasza, jak łatwo popada w popłoch, natknąwszy się na lada niezrozumiałą drobnostkę.

Zamiast powiedzieć sobie: „Nie pojmuję, ponieważ przyczyna nie jest mi znana”, wymyślamy zaraz Bóg wie jakie straszliwe tajemnice i nadnaturalne siły!

14 lipca. — Dzień Republiki. Wychodziłem przejść się po mieście. Cieszyłem się z salw i chorągwi jak mały dzieciak. A przecież ileż to niedorzeczności w tym nastroju radosnym pewnych ściśle oznaczonych dni. Lud jest stadem głupców, to idiotycznie cierpliwych, to zrewoltowanych dziko. Powiedzą mu: „Masz się bawić!” — bawi się. Powiedzą mu: — „Idź się bij z sąsiadami!” — idzie się bić. — „Głosuj za cesarzem” — oddaje głos cesarzowi; „Głosuj za Republiką” — odda głos Republice.

Ci, co nimi kierują, są także głupcami, z tą różnicą, że zamiast słuchać ludzi słuchają zasad, które już przez to samo są głupie, jałowe i fałszywe, że są zasadami, to znaczy ideami, uchodzącymi za pewne i niezmiennie na tym świecie, gdzie nie ma nic pewnego, ponieważ światło jest złudą, ponieważ złudą jest dźwięk.

16 lipca. — Widziałem wczoraj rzeczy, które mnie otoczyły mrokiem.

Byłem na obiedzie u mojej kuzynki, pani Sablé, której mąż jest komendantem siedemdziesiątego szóstego pułku strzelców w Limoges. Zastałem u niej dwie młode kobiety, z których jedna jest żoną lekarza, doktora Parent, zajmującego się specjalnie chorobami nerwów oraz nadzwyczajnymi objawami,

stwierdzanymi obecnie przez doświadczenia z hipnotyzmem i sugestią. Między innymi opowiadał nam obszernie cudowne rezultaty, osiągnięte przez uczonych angielskich i lekarzy w Nancy.

Przytoczone przez niego fakty tak mi się wydały dziwne, że nie kryłem przed nim mojej całkowitej nieufności.

— Jesteśmy niedalecy — twierdził — odkrycia jednej z najdonioślejszych tajemnic przyrody, chcę przez to powiedzieć: jednej z najdonioślejszych tajemnic na tej ziemi, bo istnieją z pewnością nie mniej doniosłe tam, na gwiazdach! Odkąd człowiek myśli i odkąd umie swe myśli wypowiedać i pismem utrwać, czuje, że ociera się nieustannie o tajemnice, niezbadane dla jego grubych i niedoskonałych zmysłów i stara się wysiłkami inteligencji uzupełnić bezsilność swoich organów.

Kiedy ta inteligencja pozostawała jeszcze w stanie pierwotnym, obcowanie człowieka z fenomenami niewidzialnego świata przybierało formy banalnych okropieństw. Stąd wzięła początek ludowa wiara w rzeczy nadnaturalne, legendy o duszach pokutujących, o wróżkach, gnomach, straszydłach i tym podobnych.

— Od jakichś stu lat wszakże ludzie zdają się przeczuwać coś nowego. Mesmer i kilku innych jeszcze skierowali nas na nieoczekiwaną drogę, na której doszliśmy w rzeczy samej, od czterech albo pięciu lat zwłaszcza, do zdumiewających wyników.

Moja kuzynka, również wielki niedowiarek, rozśmiała się. Doktor Parent zapytał ją wówczas:

— Chce pani, abym panią spróbował uśpić?

— I owszem, proszę pana.

Usiadła w fotelu, a on począł się w nią wpatrywać uparcie, fascynująco. Dziwnie się czułem wzruszonym, obserwując tę scenę; serce me uderzyło mocniej, coś mnie poczęło ścisnąć za gardło. Tymczasem powieki pani Sablé poczęły jej ciążyć, usta zacisnęły się kurczowo, pierś dyszeć poczęła.

Po upływie dziesięciu minut spała.

— Stań pan za panią — polecił mi lekarz.

Stanąłem za plecami mojej kuzynki. Włożywszy w jej rękę bilet wizytowy, rzekł doktor:

— Daję pani lusterko. Co w nim widzisz?

— Widzę mojego kuzyna — odparła.

— Co robi?

— Podkreca wąsy.

— A teraz?

— Wyjmuje z kieszeni fotografię.

— Czyją fotografię?

— Swoją własną.

Wszystko to było prawdą. Fotografie te zaś wręczono mi w hotelu tego wieczora.

— W jakiej pozie przedstawia go to zdjęcie?

— W stojącej, z kapeluszem w rękę.

Widziała zatem wszystko jak w lustrze na tym kawałku papieru.

Młode kobiety, przelękłe, poczęły wołać:

— Dosyć! Dosyć!

Ale lekarz rozkazał jeszcze uśpionej:

— Wstanie pani jutro o godzinie ósmej rano, a potem odwiedzi pani swego kuzyna w hotelu i poprosi go pani o pożyczanie 5000 franków, których mąż pani, podróżujący właśnie, zażądał od pani.

Następnie obudził ją.

W drodze powrotnej do domu rozmyślałem o tym ciekawym seansie i nie zdołałem się oprzeć dręczącym mnie podejrzeniom — nie co się tyczy absolutnej i nieulegającej żadnym kwestiom dobrej wiary mojej kuzynki, którą znałem od dzieciństwa jak siostrę, lecz w kierunku możliwego oszustwa ze strony lekarza. Nie mógł na przykład ukrywać w ręce lusterka, które pokazywał uspionej wraz z biletem wizytowym?

Prestidigitatorzy z zawodu dokazują także rzeczy zadziwiających — na swój sposób.

Wróciłem tedy i położyłem się spać.

Tymczasem rano około wpół do ósmej budzi mnie mój służący oznajmieniem:

— Pani Sablé pragnie się z panem natychmiast widzieć.

Ubrałem się spiesznie i przyjąłem ją. Siadła mocno zakłopotana, ze spuszczonej oczyma i nie podnosząc woalki, rzekła:

— Kochany kuzynie, przyszedłam do ciebie z wielką prośbą...

— Cóż to takiego, kuzyneczko?

— Wstydzę się doprawdy mówić o tym, no ale kiedy muszę. Potrzeba mi... ale to koniecznie.... 5000 franków.

— Cóż znowu? Tobie?!

— Tak jest, mnie, a raczej mojemu mężowi, który polecił mi o nie się postarać.

Byłem tak zdumiony, że język począł mi się plątać, kiedy jej chciałem odpowiedzieć. Zapytywałem sam siebie, czy ona przypadkiem nie kpi ze mnie i z doktora Parenta — jeżeli to z drugiej strony nie jest po prostu figiel obojga, z góry umówiony i zagrany wybornie.

Lecz kiedy się jej uważniej przypatrzyłem, ustąpiły wszystkie me wątpliwości.

Trzęsła się ze wzruszenia, taką jej krok ten sprawiał mękę, odczułem też, że musi się dławić od wstrzymywanych łkań.

Wiedząc, jak są majątni, ponowiłem:

— Jak to? Mąż twój nie miałby mieć do dyspozycji 5000 franków? Zastanów się, proszę cię. Czy jesteś pewna, że ci istotnie zlecił zażądać tych pieniędzy ode mnie?

Wahała się przez kilka sekund, jakby czyniła w pamięci ogromny wysiłek, po czym odpowiedziała:

— Tak jest... tak jest... Jestem tego pewną...

— Pisał do ciebie?

Zawahała się znowu, namyślając się. Przenikałem męczącą pracę jej mózgu. Nie wiedziała, jaką dać odpowiedź. Wiadome jej było jedynie, że ma u mnie pożyczyć dla męża 5000 franków — nie miała zaś odwagi kłamać.

— Tak jest, pisał do mnie.

— A to kiedy? Nie wspomniałaś mi o tym wczoraj ani słóweczka.

— Otrzymałam list dziś rano.

— Nie mogłabyś mi go pokazać?

— Nie, nie, nie... Są w nim rzeczy poufne... zbyt osobiste... Toteż... toteż spaliłam go...,

— Zatem twój mąż robi długi...

Zawahała się, a potem szepnęła:

— Nie wiem.

Oświadczyłem jej nagle:

— Niestety, nie rozporządzam w danej chwili 5000 franków, droga kuzynko.

Wydała z siebie coś w rodzaju okrzyku bóleści.

— Och! Proszę cię o to... Bardzo cię proszę, postaraj się...

Poczęła się egzaltować, splotła ręce w błagalnym geście. Zauważyłem przy tym zmianę tonu w jej głosie. Rozplakawszy się, poczęła bełkotać, pod nekającym wpływem rozkazu, który ją ujarzmił.

— Och, błagam cię! Gdybyś wiedział, jak cierpię. Potrzeba mi tych pieniędzy dziś jeszcze...

Zlitowałem się nad nią.

— W takim razie będziesz je mieć niezawodnie. Przysięgam ci.

— O dzięki! Dzięki! Jakiś ty dobry!

Teraz jednak zapytałem ją:

— Czy sobie przypominasz, co się u was działo wczoraj wieczór?

— Przypominam.

— I to także, że cię doktor Parent uspił?

— Tak jest.

— Dowiedz się, że nakazał ci we śnie przyjść do mnie dzisiaj rano z żądaniem pożyczki 5000 franków i w tej chwili jesteś posłuszną tej sugestii.

Zamyśliła się na mgnienie oka, po czym rzekła:

— Kiedy tych pieniędzy żąda mój mąż.

Męczyłem się całą godzinę, aby ją przekonać, ale daremnie.

Po jej odejściu pobiegłem do doktora. Wychodził właśnie. Śmiał się, słuchając mojej relacji, a potem powiedział:

— Wierzysz pan teraz?

— Wierzę. Trudno nie wierzyć.

— Chodźmy do pańskiej kuzynki.

Leżała na szezlongu, wyczerpana zmęczeniem. Lekarz zbadał jej puls i wpatrywał się w nią przez chwilę, podniósłszy rękę ku jej oczom, które zamykały się zwolna pod nieodpartym wpływem magnetycznej siły.

Skoro usnęła, rzekł:

— Mąż pani nie potrzebuje już owych 5000 franków. Zapomnisz pani więc, że prosiłaś kuzyna o pożyczkę, a gdyby chciał o tym mówić, nie będziesz rozumieć niczego.

Następnie zbudził ją. Dobyłem z kieszeni portfel.

— Służę ci kuzyneczko tym, czego ode mnie żądałaś dziś rano.

Była tak mocno zdziwiona, że nie śmiałem napierać. Próbowałem pomimo to rozbudzić jej pamięć, przeczyła jednak wszystkiemu z siłą, zaczęła brać, co mówiłem, za żarty i omal się w końcu nie obraziła.

Oto przebieg tego epizodu. Wróciłem stamtąd do tego stopnia wzburzony całym eksperymentem, że nie byłem w stanie śniadania zjeść.

19 lipca. — Wiele osób, którym opowiedziałem powyższe zdarzenie, żartowało sobie ze mnie. Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Mędrzec mówi: Być może?

21 lipca. — Jadłem obiad w Bougival, po czym spędziłem wieczór na zabawie wioślarzy. Stanowczo wszystko zależy od otoczenia i miejsca. Wierzyć w rzeczy nadnaturalne na wysepce „Kałuża” byłoby skończonym idiotyzmem. Ale na szczycie góry Świętego Michała? Ale w Indiach? Pozostajemy w straszliwej zależności od wpływów wszystkiego, co nas otacza. Wracam do siebie w najbliższym tygodniu.

30 lipca. — Przyjechałem do domu wczoraj. Wszystko jak najlepiej.

2 sierpnia. — Nic nowego. Pogoda przecudna. Spędzam dni na przypatrywaniu się falom płynącej Sekwany.

4 sierpnia. — Kłótnie wśród mojej służby. Utrzymują, że w nocy tłucze ktoś szklanki w szafach. Lokaj obwinia kucharkę, ta wini praczkę, a ta znów innych dwoje. Kto z nich właściwie winien? — mądry kto zgadnie.

6 sierpnia. — Tym razem nie jestem szalony! Widziałem! Widziałem! Widziałem.... Nie mogę już teraz wątpić... Widziałem! Do tej chwili zimno przejmuje mnie po same końce palców, do szpiku kości przenika mnie strach...

Widziałem! Przechadzałem się o godzinie drugiej po słońcu wśród moich szklarni z różami, szpalerem róż jesiennych, które poczynają obecnie kwitnąć.

Zatrzymawszy się właśnie przed jedną z nich, aby obejrzeć trzy wspaniałe kwiaty, jakimi się pyszniła, ujrzałem — ale to ujrzałem najwyraźniej, o krok ode mnie, jak łodyżka jednej z nich zginała się niby pod naciskiem niewidzialnej ręki, po czym nagle złamała się, jak gdyby kwiat zerwano! W ślad za tym róża uniosła się, opisując łuk, jaki by zakreśliła ręka, podnosząca ją ku czyjejsz twarzy i zatrzymała się, zawieszona w przezroczystym powietrzu, tworząc niepołączoną z niczym, nieruchomą, straszliwą pasową plamę tuż przed moimi oczyma.

Skoczyłem w jej stronę jak szalowiec, by ją uchwycić! Nic nie znalazłem; zniknęła. Wówczas porwała mnie nieopisana wściekłość na samego siebie... Bo czyliż wypada człowiekowi poważnemu i rozsądnemu dopuszczać do siebie podobne halucynacje?!

Ale czy to była rzeczywiście halucynacja? Odwróciłem się; ażeby obejrzeć łodyżkę i odnalazłem ją natychmiast na krzaku, świeżo złamaną, pomiędzy dwiema tamtymi różami, które pozostały na swojej gałązce nietknięte.

Wówczas wróciłem do pokoju, cały wzburzony, gdyż jestem teraz pewien — pewien jak tego, że po dniu następuje noc! — istnienia w moim pobliżu istoty niewidzialnej, która żyje wodą i mlekiem, może dotykać przedmiotów, chwytając je i przenosić z miejsca na

miejsce, jest zatem natury materialnej, aczkolwiek niepoznawalna dla zmysłów naszych, i że istota ta mieszka jak ja pod moim dachem.

7 sierpnia. — Spałem spokojnie. Wypił mi wodę z karafki, ale nie zakłócił mi przynajmniej snu.

Pytam sam siebie, czy jestem szalony, czy nie? Przechadzając się chwilę temu po słońcu brzegiem rzeki, powziąłem niejaki wątpliwości co do stanu mego umysłu.

Nie wątpliwości mgliste, jakie miewałem dawniej, lecz określone, stanowcze.

Widziałem w życiu nieraz wariatów, znałem nawet pośród nich takich, którzy zachowali przytomność, a nawet przenikliwość we wszystkich interesach życiowych, wyjąwszy jeden jakiś punkt. Mówili o wszystkim jasno, sprytnie, niepowierzchownie nawet, wtem myśl ich, natrafiwszy na szkopuł ich obłądu, darła się w kawałki, rozpraszała się i tonęła w oceanie lęku i furii, pełnym podskakujących fal, mgieł i wirów, które się zwą „obłądem”.

Zaiste uważałbym i siebie za wariata, za kompletnego wariata, gdybym nie posiadał świadomości, gdybym sobie nie zdawał sprawy z mego stanu, gdybym go całkowicie nie zgłębiał, analizując go z zupełną jasnością. Mógłbym być ostatecznie co najwyżej rezonującym wizjonerem. W mózgu moim mogło powstać nieznanne zaburzenie, jedno z owych zaburzeń, jakie dzisiejsi fizjologowie próbują notować i określać, i to właśnie zaburzenie mogłoby w moim umyśle, w porządku i logice moich idei, wytworzyć

głęboką ryse... Podobne fenomeny zdarzają się we śnie, który nas wodzi po labiryntach najbardziej nieprawdopodobnych fantazmagorii, nie budząc w nas zdziwienia, ponieważ aparat sprawdzający, zmysł kontroli śpi w nas, podczas kiedy zdolność wyobrażania czuwa i pracuje. Nie jestże rzeczą możliwą, że jeden z niewidzialnych klawiszy mojej klawiatury mózgowej uległ porażeniu? Wszak zdarza się, że ludzie tracą skutkiem wypadków pamięć do imion własnych lub cyfr, albo do samych tylko dat.

Umiejscowienie wszystkich drobin myśli jest dzisiaj rzeczą dowiedzioną. Otóż, co by w tym było dziwnego, gdyby moja zdolność kontrolowania nieprawdziwości pewnych halucynacji znajdowała się w danej chwili w odrętwieniu.

Myślałem nad tym wszystkim, idąc brzegiem wody. Słońce, oblewając rzekę swym blaskiem, czyniło ziemię rozkoszną, nasyciło mu spojrzenie miłością do życia, do jaskółek, których ruchliwość taką rozkosz sprawia naszym oczom, do ziół nadbrzeżnych, których szelest poi nasze uszy takim szczęściem.

Powoli jednak zaczęło mną owładać uczucie jakiejś niewytłumaczonej niemocy.

Miałem wrażenie, że jakaś niewidzialna siła czyni mnie ociężałym i nie pozwala iść dalej, w tył mnie przyzywa. Czułem owo przykre nawoływanie do powrotu, jakie nas nęka, kiedyśmy zostawili w domu ukochanego chorego, u którego się obawiamy pogorszenia.

I otóż wróciłem, mimo mej woli, pewien że zastanę w domu złą wiadomość, list lub depeszę Nic podobnego; zdziwiłem się tym jednak i zaniepokoiłem bardziej, niż gdybym został znowu nawiedzony jakąś fantastyczną wizją.

8 sierpnia. — Przeżyłem wczoraj straszny wieczór. Nie zdradza on się już, czuję go jednak w mojej bliskości, czuję, jak mnie szpieguje, podgląda, przenika, opanowuje straszniejszy w tym utajeniu się, niż gdyby nadnaturalnymi zjawiskami zdradzał swą obecność niewidzialną a stałą. Spałem pomimo tego.

9 sierpnia. — Nic nowego, lecz strach mnie nie opuszcza.

10 sierpnia. — Nic. Co będzie jutro?

11 sierpnia. — Ciągłe nic; nie mogę tutaj wytrzymać z tym ustawicznym lękiem i z tą uporczywą myślą, co wpiwszy mi się w duszę, nie odstępuje mnie ani na krok.

Wyjadę.

12 sierpnia, godzina 10 wieczór. — Przez cały dzień się zbierałem, ażeby wyjechać; nie mogłem. Nie byłem w stanie wykonać tego tak prostego aktu woli, jakim jest wyjść, wsiąść do powozu i pojechać do Rouen – nie byłem. Dlaczego?

13 sierpnia. — Są choroby, w których wszystkie sprężyny naszej istoty fizycznej wydają się jakby połamane, energie unicestwione, mięśnie zwiotczałe, kości rozmiękłe jak ciało, a ciało płynne jak woda. Coś podobnego odczuwam w obecnym stanie mej istoty moralnej w dziwnie dojmujący sposób. Jestem

kompletnie bez sił, ani odrobiny odwagi, niepanowania nad sobą, żadnej zdolności puszczenia choćby w ruch woli własnej. Nie jestem w stanie chcieć — ktoś inny natomiast chce za mnie, a ja mu jestem posłuszny.

14 sierpnia. — Jestem zgubiony! Ktoś opanował mą duszę i rządzi nią! Ktoś kieruje wszystkimi moimi czynami, każdym ruchem, myślą. Nie jestem już sam w sobie niczym, niczym jak tylko widzem bezwolnym i przerażonym przez wszystko to, co robię. Chciałbym wyjść. Nie mogę. On nie chce; i zostaję, tracąc głowę, trzęsąc się w fotelu, w którym mnie zatrzymał. Chcę w końcu choćby tylko powstać, podnieść się, aby nie stracić wiary, że jestem jeszcze panem samego siebie. Nie mogę! Jestem przykuty do mego krzesła, a krzesło do podłogi tak, że żadna siła na świecie nie byłaby mnie w stanie poruszyć.

Wtem ni stąd ni zowąd — uczuwam, że muszę, muszę bezwarunkowo pójść w głąb mego ogrodu, nazbierać truskawek i zjeść je. I idę. Zbieram truskawki, Zjadam je!

O Boże! Boże! Boże... Czyliż jest Bóg? Jeżeliś jest — oswobodź mnie, Panie! Ratuj! Wspomóż mnie! Przebaczenia! Litości! Łaski! Ratuj mnie! Och, co za cierpienie! Co za męka! Co za okropność!

15 sierpnia. — Oto w jaki sposób była opętana i kierowana moja biedna kuzynka, kiedy przyszła do mnie pożyczyć 5000 franków. Ulegała ona cudzej woli, która wstąpiła w nią niby cudza dusza, pasożytnicza i samowładna... Czyliż się zbliża koniec świata?

Kim jest ten niewidzialny, który mną włada, ten niepoznawalny włóczęga nadprzyrodzonego pochodzenia?

Więc Niewidzialni istnieją! Dlaczego jednak w takim razie nie objawili się dotąd od początku świata sposobem tak wyrazistym jak uczynili to wobec mnie?

Nie zdarzyło mi się nigdy czytać nic podobnego do tych rzeczy, jakie się dzieją w domu moim. Och, gdybym go chociaż mógł opuścić, wynieść się zeń, uciec i nie wrócić. Byłbym wtenczas uratowany! Niestety — nie mogę.

16 sierpnia. — Zdołałem się dzisiaj wymknąć na dwie godziny jak więźniowi, kiedy zastanie przypadkiem niezamknięte drzwi celi. Naraz uczułem, że jestem wolny i że on się znajduje daleko. Kazałem co prędzej zaprzęgać i pojechałem do Rouen. O cóż to za rozkosz móc powiedzieć człowiekowi, który musi wypełnić nasze zlecenie: — „Jedź do Rouen!”.

Kazałem mu się zatrzymać przed biblioteką i poprosiłem o pożyczanie wielkiego traktatu doktora Hermana Herestauss’a o nieznanym mieszkańcach starożytnego i nowoczesnego świata.

W chwili, kiedy na powrót wsiadałem do powozu, chciałem powiedzieć: „Do przystani!” — tymczasem krzyknąłem — nie wyrzekłem, tylko krzyknąłem tak głośno, że aż się przechodnie odwracali: „Do domu!” — po czym, oszalały z przestachu, padłem na poduszki pojazdu. Odnalazł mnie i opanował na nowo.

17 sierpnia. — Ach, co za noc! Co za noc! A przecież zdaje mi się, że powinienem się cieszyć. Aż do

godziny pierwszej po północy czytałem. Herman Herestauss — doktor filozofii i teogonii — spisał historię i znaki, przez które objawiają się wszystkie istoty niewidzialne, krążące dokoła człowieka lub pojawiające mu się w snach. Kreśli on ich pochodzenie, dziedzinę, ich moc.

Żadna z nich wszakże nie jest podobną do tej, która mnie nęka. Można by powiedzieć, że odkąd człowiek myśli, przeczuwał i lękał się zawsze nowej istoty, silniejszej niż on spadkobierczyni swojej na ziemi i odczuwając jej bliskość, a nie będąc zdolnym przeniknąć natury tego władcy, stworzył pod wpływem swojej trwogi cały fantastyczny tłum tajemniczych tworów, widm niepochwytnych, zrodzonych z lęku.

Przesiedziałem więc nad lekturą do godziny pierwszej rano, po czym poszedłem usiąść przy otwartym oknie, aby odświeżyć czoło i myśli w chłodnym powiewie mroków.

Tak było przyjemnie! Ociepliło się. Jakże rozkoszowałbym się dawniej taką nocą?

Noc była bez księżyca. Natomiast gwiazdy iskrzyły się, drżące, w głębiach czarnego nieboskłonu. Kto też zamieszkiwać może te światy? Jakie kształty, jakie istoty, jakie rośliny i zwierzęta znajdują się tam? Co wiedzą więcej od nas ci, których myśl pracuje w tych światach, odległych? O ile więcej mogą oni niż my? Co widzą — z rzeczy, dla nas niedostrzegalnych wcale? Czy nie pojawi się pewnego pięknego dnia — przebywszy przestwór — jeden z nich na naszej ziemi,

aby ją zawojować, jak niegdyś Normanowie morza przebywali, aby podbijać ludy od nich słabsze?

Jesteśmy tacy bezsilni, tacy bezbronni, tacy niewiedzący i mali na tej kruszynie błota, co krąży, rozmokła w kropli wody.

Zasnąłem, marząc tak na chłodnym wietrze nocy.

Wtem, przespawszy około czterdziestu minut, otworzyłem oczy bez poruszenia, zbudzony nie wiem jakim wrażeniem nieuchwytnym i dziwnym. Zrazu nie spostrzegłem nic, wtem wydało mi się, że kartka książki, która leżała na stole otwarta, obróciła się sama przez się. Z okna nie wpadał najłżejszy nawet powiew wiatru. Zdziwiony czekałem. Po upływie mniej więcej czterech minut widzę – tak jest, widzę na własne oczy – jak druga kartka podnosi się i opada na poprzednią, jakby ją ktoś palcem przewrócił. Fotel mój był pusty, wydawał się pusty, zrozumiałem jednak, że on tam był – on, usadowiony na moim miejscu – i czytał.

Jednym wściekłym skokiem buntującego się zwierzęcia, które rzuca się, aby rozedrzeć pogromcę, przebyłem pokój, chcąc go schwytać, zdusić, zabić! Lecz fotel, zanim go zdążyłem dosięgnąć, przewrócił się, jakby z niego ktoś przede mną uciekał. Stół zachwiał się, lampa zgasła, a oba skrzydła okna zamknęły się, jak gdyby przydybany na gorącym uczynku złoczyńca rzucił się w mrok, zatrzasnąwszy za sobą oburącz kwatery.

A więc uciekł! Bał się... Bał się mnie! On!

Lecz w takim razie... w takim razie... jutro... albo pojutrze... lub któregokolwiek dnia, dostanę go wreszcie w moje ręce i o ziemię roztrzaskam!

Czyliż nie zdarza się czasem, że psy zagryzą i rozszarpiają swego pana?

18 sierpnia. — Spędziłem dzień na rozmyślaniu. Tak jest... Będę go odtąd słuchał, poddawał się jego wpływom, spełniał wszystko, co zechce, stanę się pokornym, uległym, nikiemnym... On jest silniejszy... Ale przyjdzie godzina...

19 sierpnia. — Wiem... Wiem... Wiem wszystko! Oto, co wyczytałem w *Revue du Monde Scientifique*: — „Dość ciekawa wiadomość doszła nas z Rio de Janeiro.

Obłąd, epidemiczny obłąd, podobny do zaraźliwych szarów, jakie nawiedzały ludność Europy w średnich wiekach, szerzy się obecnie w prowincji San Paulo.

Przerażeni mieszkańcy porzucają swe domy, opuszczają wsie, zostawiają na łasce losu uprawne pola, utrzymując, że są ścigani, opętani, owładnięci przez niewidzialne, choć dotykalne istoty, które na podobieństwo wampirów żywią się ich życiem w czasie ich snu, a nadto piją wodę i mleko, nie tykając, jak się zdaje, żadnych innych pokarmów.

Profesor Don Pedro Henriquez wyjechał w towarzystwie kilku uczonych lekarzy do prowincji San Paulo, aby studiować na miejscu pochodzenie i objawy tego dziwnego szaru, a następnie przedstawić cesarzowi środki, jakie wydadzą się najodpowiedniejszymi w celu przywrócenia normalnego stanu umysłu obłąkanej ludności”.

Ach, przypominam, przypominam sobie teraz ów piękny brazylijski trójmasztowiec, który przepłynął pod moimi oknami, zdążając w górę Sekwany ósmego maja tego roku! Wydał mi się taki śliczny, biały, wesoły... On płynął tym statkiem, przybywając stamtąd, z kraju, który jest ziemią ojczystą jego rasy. On mnie również zobaczył! Spostrzegłszy mój dom, również biały, wyskoczył z okrętu na brzeg. O, mój Boże!

Teraz już wiem, przejrzałem. Panowanie człowieka skończyło się.

Przyszedł On — Ten, przed którym lęk wyrażały pierwsze dreszcze strachu ludów w stanie dzieciństwa. Ten, którego egzorcyzmowali bojaźliwi księża, którego czarownicy wywoływali w ciemne noce, nie mogąc się jeszcze doczekać jego zjawienia, któremu przeczucia tymczasowych panów świata nadawały wszelkie możliwe postacie, potworne czy tuż wdzięczne gnomów, duchów, geniuszów, wróżek, chochlików. Po grubych koncepcjach prymitywnej bojaźni ludzie bystrzejsi poczęli się zdobywać na jaśniejsze przeczucia. Mesmer go odgadł, lekarze zaś już dziesięć lat temu odkryli drogą ścisłych doświadczeń naturę jego siły, zanim on sam jej użył. I poczęli igrać z tym orężem nowego władcy, z wpływem tajemniczej woli na dusze ludzkie, w bezwolę popadłe. Nazwali to magnetyzmem, hipnotyzmem, sugestią, czy ja wiem... Widziałem ich igrających jak nierozumne dzieciaki z tą straszną siłą! Biada nam! Biada człowiekowi! On się zjawił na ziemi. Ach, jakie jest jego imię? Mam uczucie, jakby mi je

krzyczał w ucho. Nie mogę jednak dosłyszeć... Tak jest... Krzyczy je... Wyteżam słuch, nie mogę...

Powtórz!! Horla!! Usłyszałem. „Horla jest jego imię!”. Na ziemi zjawił się Horla!

Ha! Sęp pożerał gołębie, wilk owce, lew zjadał spiczastorogie bawoły, człowiek zabijał lwy i bawoły strzałą, oszczepem, kulą — a Horla uczyni z nami, co my czyniliśmy z koniem i bykiem: swoją własność, swego sługę i swe pożywienie — samą siłą swej woli. Biada nam!

A przecie zwierzę buntuje się niekiedy i uśmierca tego, co je ujarzmił. To też i ja chcę... i mogę... Trzeba Go jednak wpierw poznać, dotknąć, zobaczyć! Uczeni twierdzą, że oko zwierząt nie jest takim jak nasze, widzi ono od naszego odmiennie. Tak samo moje oko, tak samo i ja nie jestem w stanie dostrzec nowego przybysza, który mnie dręczy.

Dlaczego? Ach, przypominają mi się słowa mnicha z góry Świętego Michała:

„Czyliż my widzimy jedną stutysięczną część tego, co jest? Patrz pan, oto na przykład wiatr, jedna z najpotężniejszych sił w przyrodzie: obala on ludzi, burzy gmachy, wyrywa z korzeniami drzewa, wzbija morze w olbrzymie góry wodne, kruszy skały, ciska ogromnymi statkami jak piłką o podwodne rafy, a widział go pan kiedy — ten wiatr, co jęczy, świszczce, zabija lub czy go pan jesteś w stanie zobaczyć? A przecież on istnieje!”

I pomyślałem jeszcze: „Oko moje jest tak słabe, tak niedoskonałe, że nie dostrzega nawet ciał twardych, gdy

mają przezroczystość szkła! Jeśli mi tafla zwierciadlana bez lustrzanej polewy zagrozi drogę, rozbije się o nią jak ptak, usiłujący uciec z pokoju, rozbija głowę o szybę. Tysiące rzeczy mami i myli nasz wzrok. Cóż więc dziwnego, że nie może on dostrzec nowego ciała, przepuszczającego promienie świetlne?”.

Nowa istota! I czemu by nie? Musiała się ona pojawić z pewnością, bo i dlaczego my, ludzie, mielibyśmy tutaj być ostatnimi? Nie widzimy jej, tak jak wszystkich innych przed nami stworzonych, ponieważ przyroda jej jest doskonalszą, ciało delikatniejszym, bardziej skończonym niżeli nasze, takie słabe, tak nieudolnie poczęte, przeładowane organami, nużącymi się ustawicznie, zawsze opornymi jak zbyt skomplikowany mechanizm; niżeli nasze, wiodące byt sposobem roślinnym i zwierzęcym, karmiące się powietrzem, trawą i mięsem: machina zwierzęca, wystawiona na choroby, zniekształcenia, gnicie, dychawiczna, nieregularnie idąca, naiwna i cudaczna, dowcipnie sfuszerowana, utwór zarazem gruby i delikatny, szkic istoty, która mogłaby być inteligentną i cudowną.

Jest nas trochę, tak niewiele, tworów żyjących na tym świecie, od ostrygi do człowieka. Czemu ani jednej istoty więcej od chwili, zamykającej jeden z okresów, co odgradzają kolejne pojawianie się rozmaitych gatunków?

Dlaczego ani jednej ponadto? Czemu się nie pojawiają inne jeszcze drzewa o kwiatach olbrzymich, świetnie zabarwionych, napełniających cało okolice

swym zapachem? Czemu nie ma innych jeszcze żywiołów prócz ognia, powietrza, ziemi i wody? Jest ich cztery — czterech tylko rodziców żywicieli istot! Co za ubóstwo! Czemu nie czterdzieści, czterysta, cztery tysiące? Jakież to wszystko ubogie, liche, nędzne, skąpo odmierzone, sucho pomyślane, ciężko obrobione. Słoń, hipopotam — ileż w nich wdzięku! Wielbłąd — co za wytworność!

Ale — powiecie — motyl: latający kwiat! Mnie się jednak marzy taki, co by miał ogrom stu wszechświatów, skrzydła — których kształtu, krasy, barw i poruszeń wyrazić nawet nie potrafię. Widzę go przecież, jak z gwiazdy na gwiazdę przelatuje, chłodząc je i napawając zapachem przez harmonijny i lekki powiew swego lotu. A ludy, zamieszkujące przestwór, patrzą, jak płynie, w oczarowaniu i zachwycie.

Cóż się więc ze mną dzieje? To on, on, to Horla mnie opętał i budzi we mnie takie myśli! Jest we mnie, staje się moją duszą; zabiję go!

19 sierpnia. — Zabiję go! Udało mi się go wreszcie zobaczyć! Usiadłszy wczoraj wieczorem przy stole zacząłem udawać, że piszę z wielką uwagą.

Wiedziałem naprzód, że będzie krążył dokoła mnie, coraz bliżej, tak blisko, że mógłbym go może dotknąć, pochwycić... A wówczas?! Wówczas dobędę z siebie wszystkich sił desperata, użyję rąk, kolan, piersi, czoła, zębów — i zduszę go, zgniotę, zagryzę, poszarpie.

Począłem czatować na niego wszystkimi moimi zmysłami w najwyższym napięciu.

Zapaliłem na kominku obie lampy i osiem świec, jak gdybym go wśród takiego blasku łatwiej mógł odkryć.

Przede mną moje łóżko, stare łóżko dębowe, z kolumnami, na prawo kominek, na lewo drzwi starannie zamknięte, które czas dłuższy pozostawiłem otworem, aby go przywabić; za mną bardzo wysoka szafa z lustrem, przed którym co dzień rano goliłem się, ubierałem i miałem zwyczaj przeglądać się od stóp do głowy, ile razy koło niego przechodziłem.

Owóż zacząłem udawać, że piszę, aby go zmylić, bo i on szpiegował mnie także; naraz uczułem, ale to uczułem z całą pewnością, że czyta mi przez ramię, że jest tuż przy mnie, że się ociera o moje udo.

Wówczas zerwałem się z wyciągniętymi rękami i odwróciłem tak szybko, że o mało przy tym nie upadłem. I cóż? W pokoju było jasno jak w biały dzień — a ja się nie ujrzałem w zwierciadle! Było puste, jasne, wgłębione, pełne światła!

Nie było w nim mego odbicia, a stałem przecież na wprost niego! Widziałem tuż przed sobą, w całej wielkości, tylko przezczystą tafłę szklaną. I zapatrzyłem się w nią oszalałymi oczyma, nie śmiałem postąpić kroku, nie śmiałem się poruszyć, czując wszakże, że on tu jest, lecz że mi się jeszcze wymknie tym razem — On, którego nieuchwytne ciało zasłoniło w lustrze moje odbicie.

W jakim byłem strachu! Po chwili zacząłem nagle widzieć samego siebie w głębi zwierciadła jak przez mgłę, jakby przez warstwę wody; wydało mi się, że ta

woda przesuwa się od lewej strony ku prawej, z wolna przywracając tym samym z każdą sekundą mojemu odbiciu coraz to większą wyrazistość. Był to jak gdyby koniec zaćmienia. To, co mnie do tej chwili przesłaniało, zdawało się nie posiadać ściśle określonych zarysów, lecz pewien rodzaj półprzezroczystości, rozplywającej się nieznacznie.

Nareszcie mogłem ujrzeć siebie wyraźnie jak co dzień w moim lustrze.

Otóż widziałem go! Przewrzenie nie opuszcza mnie, od tej chwili czuję dotąd dreszcze.

20 sierpnia. — Zabiłbym go — lecz jak? Skoro nie mogę go dosięgnąć rękoma?

Przez otrucie? Zobacz, jak będę truciznę mieszał z wodą. Pytanie zresztą, czy zabójcze dla nas trucizny będą tak samo oddziaływać na jego niepochwytne ciało? Nie — bez żadnej wątpliwości. A więc? A więc?

21 sierpnia. — Kazałem sobie sprowadzić z Rouen ślusarza, aby sporządził do mojego pokoju żelazne okiennice, jakie są w Paryżu na parterze niektórych domów prywatnych dla ochrony przed złodziejem. Zrobi mi również takie same drzwi. Zrobiłem z siebie w ten sposób tchórza, lecz mało mnie to obchodzi.

10 września. — Rouen, hotel kontynentalny. Stało się, stało się... Czy zginął jednak? Jestem do głębi duszy wzburzony tym, na co patrzyły moje oczy.

Wczoraj więc, kiedy ślusarz umocował drzwi żelazne i okiennice, pozostawiłem jedne i drugie otworem do samej północy, mimo że zaczęło się oziębować.

Naraz uczułem, że on jest w pokoju i radość, szalona radość przejęła mnie na wskroś. Powstawszy powoli, zacząłem się przechadzać tam i nazad po pokoju; chodziłem dość długo, aby się nie domyślił niczego; następnie zdjąłem buciki i wdziałem pantofle, niedbale; po czym zamknąłem żelazne okiennice, powróciwszy najspokojniej w świecie do drzwi, zamknąłem je również na dwa spusty. Teraz wróciłem do okna i zamknąłem okiennice dodatkowo na kłódkę, od której klucz schowałem do kieszeni.

Wtem odczułem, że zaczął krążyć wokół mnie, że się przeląkł, że mi nakazuje otworzyć. Niewiele brakowało, abym mu uległ, nie uległem jednak, lecz przysunąwszy się plecami do samych drzwi, uchyliłem je akurat tyle, aby się przez nie raczką przemknąć, a ponieważ drzwi są niskie, otarłem się czubkiem głowy o poprzeczną odrzwi. Pewien, że mi się wymknąć nie zdołał, zamknąłem go samego, samiuteńkiego! Co za radość! Miałem go nareszcie!

Następnie zbiegłem co żywo na dół i wszystką naftę z dwóch lamp w salonie tuż pod moim pokojem wylałem na dywany, meble, posadzkę — podpaliłem! — i uciekłem, zamknąwszy drzwi wejściowe na dwa spusty.

Pobiegłem się ukryć na tyłach mego ogrodu, w wawrzynowym lasku. Jakże to długo trwało! Jak długo! Dokoła mrok, milczenie, znieruchomienie. Ani jednego wietrzyka, ani jednej gwiazdki, tylko góry chmur, których nie byłem w stanie dojrzeć w ciemności, lecz

które tak strasznie mi przygniatały ciężarem swoim duszę.

Patrzyłem na mój dom i czekałem. Jakże to długo trwało! Zacząłem już przypuszczać, że ogień zgasł lub też, że on go stłumił, On; gdy naraz jedno z okien na dole pękło pod parciem pożaru i płomień, potężny płomień czerwono-żółty, wydłużony, wiotki, pieszczotliwy, wspiął się po murze pod sam dach i przylgnął do niego jakby w pocałunku. Jasność pobiegła między drzewa, między gałęzie i liście, a za nią dreszcz — dreszcz trwogi! Pobudziły się ptaki; pies zaczął wyć; myślałem, że świta! Niebawem wysadziło jeszcze dwa okna i cały parter mojego domu zamienił się w jedno straszliwe ognisko. Wtem krzyk, krzyk straszny, przeraźliwy, rozdzierający, krzyk kobiety, przeszył ciemność i dwa okna w dachu otworzyły się. Zapomniałem o moich służących!

Ujrzałem ich obłąkane twarze, ich wyciągnięte ramiona!

Natenczas — oszalały z przerażenia — puściłem się pędem ku wiosce, krzycząc:

— Na pomoc! Ratujcie! Pali się! — a napotkawszy ludzi, którzy spieszyli już w stronę ognia, wróciłem z nimi, aby doglądać ratunku.

Dom był już obecnie jak jeden olbrzymi i wspaniały stos gorejący, potworny stos, oświetlający swym blaskiem całą ziemię, stos, na którym płonęli ludzie i na którym on także gorzał. On, On — mój jeniec, nowa istność, nowy mocarz, Horla!

Naraz dach cały zapadł się w głąb murów i wulkan płomieni i iskier trysnął pod sam niebieski strop. Przez wszystkie okna, ukazujące wnętrze, pełne żaru, widać było jeden odmęt płomieni, a ja myślałem na ten widok, że on tam jest, w tym piekle — martwy!

Martwy? Rzecz możliwa. Lecz ciało jego, czy jego ciało, przez które światło przenika, nie może być również niezniszczalnym wobec wpływów, uśmiercających nasze?!

Jeżeli więc nie zginął? Boć może jeden tylko czas potrafi unicestwić Istotę Niewidzialną i Straszliwą. Po cóż by jej to ciało przejrzyste, nieuchwytnie, to ciało Ducha, gdyby się, pomimo niego, obawiać miała — i ona także — cierpień, ran, kalectwa, przedwczesnej zagłady?

Przedwczesnej zagłady? Wszak wszystkie człowiecze obawy w niej mają swe źródło! Po człowieka — Horla! — Po tym, któremu śmierć groziła codziennie, o każdej godzinie, minucie, od tysiąca przypadków — przyszedł ten, który umrze dopiero w dniu oznaczonym, o oznaczonej godzinie, minucie, gdy dojdzie do granic swego istnienia.

Nie, nie! Bez żadnej wątpliwości, bez żadnej a żadnej wątpliwości — nie zginął! W takim razie jednak... w takim razie ja... ja sam muszę odebrać sobie życie!

Guy de Maupassant

Horla

Tytuł oryginału:

Le Horla

Redakcja: *Anna Otdak*

Projekt okładki: *Jolanta Karwowska - STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA*

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-384-2, Festina 2013

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl